

Leigh Brackett

Narodziny planety

(A World Is Born)

Comet Stories, July 1941

Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

Oryginał tekstu i ilustracje zaczerpnięto z wydania Projektu Gutenberg.

© Public Domain

This text is translation of the shortstory "A World Is Born" by Leigh D. Brackett, published by Project Gutenberg, September 8, 2007 [eBook #22544]

According to the included copyright notice:

"This eBook was produced from Comet magazine, July 1941, pp. 56-70. Extensive research did not uncover any evidence that the U.S. copyright on this publication was renewed."

It is assumed that this copyright notice explains the legal situation in the United States. Copyright laws in most countries are in a constant state of change. If you are outside the United States, check the laws of the appropriate country.

Copyright for the translation is transferred by the translator to the Public Domain.

This eBook is for the use of anyone anywhere at no cost and with no restrictions whatsoever.



Pierwsze rozbłyski błękitnych płomieni dotknęły ludzi Dio. Jego wyladowania przyczepiły się do rękojeści broni i rąk. Ludzie wrzeszczeli i upadali. Jill krzyknęła kiedy zdarł srebrne ozdoby z jej sukienki.

Mel Gray odrzucił nagle z tygrysią dzikością, trzymaną w rękach motykę, i stanął wyprostowany. Pracujący obok niego Tom Ward, spojrzał na kamienny profil Graya, młody ale stwardniały przez wojnę i piekło więziennych cel na Erosie.

Przez ciemne oczy Warda przebiegł szybki błysk satysfakcji. Potem uśmiechnął się szeroko o powiedział kpiącym tonem:

– Do diabła miejsca, w którym możesz spędzić resztę swojego życia, co?

Mel Gray spoglądał w dół doliny zmęczonymi, nabiegłymi krwią niebieskimi oczyma. Olbrzymie słońce Merkurego paliło jego nagie ciało. Pot żłobił ścieżki w pokrywającym skórę pyle. Gardło wręcz bolało z pragnienia. A otaczający ich spieczony krajobraz kpił z niego bardziej niż ciemna twarz Warda.

– Resztę mojego życia – powtórzył miękko. – Resztę mojego życia!
Miał dwadzieścia osiem lat.

Ward splunął na wilgotną, czarną ziemię.

– Powinieneś się cieszyć -- pomagasz nieszczęśliwym, budujesz przystań dla zrujnowanych...

– Zamknij się!

W Grayu zaczęła narastać furia, gorętsza niż woda z wrzących źródeł, spływająca ze Słonecznej Strony, aby nawadniać doliny. Nienawidził Merkurego. Nienawidził Johna Moultona i jego córki Jill, którzy wymyślili ten plan budowania nowej planety dla zrujnowanych i zdesperowanych weteranów Drugiej Wojny Międzyplanetarnej.

– Mam już dość tej „bezinteresownej służby” – wyszeptał. – Od tej chwili służę sobie samemu.

Ucieczka. To było wszystko, czego pragnął. Ucieczka od tych dusznych dolin, od furczenia wiatru na jałowych graniach, które wznosiły się w pozbawioną powietrza przestrzeń kosmiczną, wyżej niż Everest. Ucieczka od nadzoru dwudziestu strażników, wymuszonego towarzystwa dla dziewięćdziesięciu dziewięciu weteranów-skazańców.

Ward zaczął grzebać w bruzdach pomiędzy odpornymi, specjalnymi krzyżówkami bulw.

– To jest niemożliwe, mały. Nawet dla „Duke’a” Graya, „geniusza o lekkich palcach, który przez pięć lat trzymał w szachu Interstellar Police”. – Roześmiał się. – Czytałem o tobie.

Gray powoli przesunął pobrudzonymi ziemią palcami, po gładkiej czuprynie swoich żółtych włosów.

– Tak myślisz? – spytał miękkim tonem.

Wzdłuż bruzdy szedł w ich stronę Dio, Marsjanin, a jego szczupła, żyłasta postać rysowała się ostro na tle panoramy wyższej części doliny – schludnych rzędów roślin i zielonych kłębow wenusjańskiej pszenicy, pokropkowanych pracującymi w pocie czoła ludźmi i ich przyjacielskimi strażnikami.

Zielone, zwężone oczy Dio uważnie studiowały twarzą Graya.

– O co chodzi, Gray? Próbujesz coś zacząć?

– Myślisz, że mógłbym? – jedwabistym głosem zapytał Gray.

Dio był nieoficjalnym przywódcą weteranów-skazańców. Jego szczupłe ciało i ostra twarz roztaczały wokół siebie nieco tej ponurej determinacji, która powodowała, że Marsjanie z takim uporem czepiali się swojej umierającej planety i przywracali ją z powrotem do życia.

– Zgłosiłeś się na ochotnika, podobnie jak i reszta z nas – przypomniał mu Marsjanin. – Czy nie masz na tyle charakteru, żeby teraz to wytrzymać?

– Diabli tam zgłosiłem się na ochotnika! IPA mnie wysłała. A co cię to obchodzi?

– Tylko tyle. – Zielone oczy Dio były przekrwione i gniewne. – Jesteś tutaj dopiero od miesiąca. Reszta z nas przyleciała niemal rok temu – ponieważ chcieliśmy to zrobić. Pracowaliśmy jak niewolnicy, ponieważ tak chcieliśmy. Za trzy tygodnie będziemy mogli zebrać plony. Projekt Moultona stanie się samowystarczalny. Moulton dostanie swoją stałą koncesję, i każdy będzie mógł ruszyć w swoją stronę.

Znacząco zawiesił głos.

– Jest nas tutaj dziewięćdziesięciu dziewięciu, Gray. Dziewięćdziesięciu dziewięciu, którzy chcą aby Projekt Moultona odniósł sukces. Wiemy, że ta wesz, Caron z Marsa, nie chce tego, ponieważ odkryto tutaj złoża blendy

uranowej. Nie wiemy, czy pracujesz dla niego, czy też nie, ale sprawiasz nam poważne kłopoty.

Popatrzył na niego twardym wzrokiem.

– Nie chcemy tu żadnych kłopotów, Gray. Nie chcemy dać Interplanetary Prison Authority żadnej wymówki do odwołania swojej poprzedniej decyzji i dania tutaj wolnej ręki Caronowi z Marsa. Będziemy uważać na każdego, kto będzie tego próbował. Zrozumiałeś?

Mel Gray zrobił jeden powolny krok do przodu, ale zatrzymał go ostry okrzyk Warda:

– Stój! Strażnik.

Marsjanin ruszył z powrotem bruzdą. Strażnik uspokojony, powędrował w górę doliny, ze zmrużonymi oczyma wpatrując się w nierówny postrzępiony pas jasnoszarego nieba, widoczny między skałami. Robił się on coraz bardziej czarny, w miarę jak formowały się niskie chmury, wiszące zaledwie kilkaset stóp powyżej miedzianych kabli, przebiegających ponad ich głowami od jednej górskiej ściany, do drugiej.

– Kolejna burza – warknął Ward. – Robi się coraz gorzej, ponieważ Merkury zbliża się do perihelium. Cudowna planeta, co nie?

– Dlaczego zgłosiłeś się na ochotnika? – spytał go Gray, podnosząc leżącą motykę.

Ward wzruszył ramionami.

– Miałem swoje powody.

Gray wypowiedział w końcu na głos pytanie, które nie dawało mu spokoju już od czasu jego przeniesienia w to miejsce.

– Na listach oczekujących były całe setki ludzi, którzy mogli zastąpić zmarłego człowieka. Dlaczego zamiast nich, wysłali tutaj mnie?

– Jakiś głupi błąd – beztrząsliwie stwierdził Ward. A potem tym samym swobodnym tonem: – Naprawdę o tym myślisz, o ucieczce?

Gray spojrzał na niego.

– A czemu cię to obchodzi?

Ward przysunął się bliżej.

– Mógłbym ci pomóc?

Sztylet nadziei zmieszanej z podejrzliwością, przebił serce Graya. Ciemna twarz Warda uśmiechnęła się do niego przelotnie, z równoczesnym tajemniczym błyskiem czarnych oczu i Gray uświadomił sobie, że nie ufa tamtemu.

– Co rozumiałeś przez tę pomoc?

Dio pracował bliżej, obserwując ich uważnie. O zbocza skalnych ścian odbił się echem pierwszy pomruk pioruna. Obecnie zrobiło się już zupełnie czarno, poza gardzielą doliny widać było różowe płomienie wędrującej znad Ciemnej Strony zorzy.

– Mam pewne... kontakty – tajemniczo odparł Ward. – Jesteś zainteresowany?

Gray zawahał się. Było w tym zbyt wiele rzeczy, których nie mógł zrozumieć. Ponadto zawsze był samotnikiem. A przynajmniej od Drugiej

Wojny Międzyplanetarnej, która wydające się wiecznością osiem lat temu, wyrwała go ze spokojnej przystani życia w ojczystym kraju i przekuła go na twardziela -- cynika, nie ufającego nikomu poza Melem „Duke” Grayem.

– Jeżeli masz jakieś kontakty – powiedział powoli, – to dlaczego sam ich nie użyjesz?

– Mam swoje powody. – I znów ten sam tajemniczy szeroki uśmiech. – Ale to nie powinno cię interesować, nieprawdaż? Wszystko czego chcesz, to tylko się stąd wydostać.

To była prawda. Wysłuchanie tego, co ma mu do powiedzenia Ward, nie powinno jakoś specjalnie zaszkodzić.

Nad ich głowami rozbłysła błyskawica, strzelająca zygzakiem w dół, wychwycona i odprowadzona do ziemi przez miedziane kable. W świetle siniego rozbłysku zobaczyli twarz Dio, zeszywniałą z niepokoju i determinacji. Gray skinął potwierdzająco głową.

– A więc dzisiaj wieczorem – wyszeptał Ward. – W kwaterach sypialnych.

Dolina, w której pracował Mel Gray, odgałęziała się od innej głębokiej doliny, przecinającej płaską równinę uformowaną z gołej skały wysmaganej szalejącymi na niej wściekłymi wiatrami. Ośłaniała ona serce Projektu Moultona.

Strumienie wody z gorących źródeł łączyły się w niej, aby utworzyć parującą rzekę. Pod wielkim gorącym słońcem, gwałtownie rozrastała się bujna roślinność. Temperatura powietrza utrzymywała się niemal na stałym poziomie, dzięki osłonie jaką dawały gorące źródła, a sama atmosfera była nieruchoma i ciężka.

Ale w górze, wysoko ponad miedzianymi kablami, przecinającymi wszystkie doliny w których odważyli się zamieszkać ludzie, między nagimi skałami wyły i jęczały nigdy nie cichnące, wieczne wiatry Merkurego,

Na dnie doliny, przycupnęły trzy betonowe kopuły, połączone podziemnymi korytarzami, mieszczące kwatery sypialne, warsztaty, kuchnie, magazyny i pomieszczenia kierownictwa. Obok najmniejszej z kopuł, połączony z nią przez dobrze zamknięty tunel, znajdował się izolowany hangar, w którym stał jedyny statek kosmiczny na Merkurym.

W małej kopule, John Moulton uniósł głowę sponad wielkiego stosu raportów, wziął szczyptę marsjańskiej tabaki, mocno kichnął i powiedział:

– Jill, wydaje mi się, że nam się udało.

Czarnowłosa młoda kobieta o szarych oczach, odwróciła się od kwarcytowego okna, przez które obserwowała zbierające się w górze chmury burzowe. Grzmoty dobiegające do nich z innych dolin, docierały jako stłumiony pomruk, który nigdy nie cichł, a minął już rok ich pobytu na Merkurym.

– Nie wiem – odparła. – Wydaje się, że jak do tej pory, nic się nie dzieje, a jednak... To było zbyt proste.

– Proste! – parsknął Moulton. – Naderwaliśmy sobie plecy, walcząc z tymi dolinami. A ile nerwów kosztowała nas ta walka. Ale pokonaliśmy je!

Wstał z długimi potarganymi włosami, i szarymi oczyma wypełnionymi światłem.

– Mówiłem IPA, że ci ludzie nie są przestępcami. I miałem rację. Teraz nie mogą odmówić mi tej koncesji. Obojętne, jak bardzo Caron z Marsa chciałby położyć swoje łapy na tym radzie.

Złapał Jill za ramiona i potrząsnął nią, śmiejąc się na cały głos.

– Trzy tygodnie, dziewczyno, to wszystko. Pierwsze zbiory są już niemal gotowe do żniw, pierwsze płatności za rudę napływają z kopalni. Za trzy tygodnie, będą musieli przyznać mi stałą koncesję, zgodnie z wcześniejszym porozumieniem, a wtedy...

W jego oczach pojawiła się powaga.

– Jill – dodał uroczystym tonem, – na naszych oczach narodzi się planeta.

– Właśnie to mnie przeraża – Jill spojrzała do góry, na pierwszy rozbłysk mknącej na dół błyskawicy, a po niej nastąpiło uderzenie pioruna, które wstrząsnęło kopułą. – Przy narodzinach tak wiele może się wydarzyć. Chciałabym, żeby te trzy tygodnie były już za nami!

– Nonsens, dziewczyno! A co takiego miałyby się wydarzyć?

Spoglądała na miedziane kable, iskrzące się od płynącego w nich ładunku elektrycznego i myślała o stu dwudziestu dwóch ludziach żyjących na tym wąskim Pasie Zmierzchu -- z gwałtownym gorącym Słonecznej Strony przed nimi, i kosmicznym zimnem Ciemnej Strony, za ich plecami, walczących z wiatrami, burzami i gorącym, aby stworzyć planetę, która zastąpiłaby tę zabraną im przez Wojnę.

– Tak wiele może się wydarzyć – wyszeptała. – Wypadek, ucieczka...

Teleekran komunikatora pomiędzy kopułami wybuczał swój sygnał. Jill, przepełniona jakimś dziwnym przeczuciem, podeszła, aby go odebrać.

Na ekranie pojawiła się twarz Dio Marsjanina, jeszcze mokra i brudna od niesionej przez burzę, przesączonej wodą ziemi, z włosami rozczochranymi podczas przedzierania się przez równinę w nieustannej walce z chaotycznymi porywami wiatru.

– Miss Moulton, chciałbym się z panią zobaczyć – powiedział. – Jest coś zabawnego, co jak sądzę, powinna pani wiedzieć.

– Oczywiście – odparła Jill i pochwyciła spojrzenie ojca. – Coś mi się wydaje, że zaraz dowiemy się, które z nas miało rację.

W kwaterach panowała cisza i spokój, poza pomrukiem odległych grzmotów i ciężkimi oddechami wyczerpanych ludzi. Tom Ward przykucnął w ciemności koło koi Mela Graya.

– Nie masz chyba zamiaru wymięknąć w ostatniej chwili, co? – wyszeptał. – Ponieważ ja nie mogę sobie pozwolić na podejmowanie ryzyka.

– Spokojnie – ponuro odparł Gray. – Jaka jest twoja propozycja?

– Mogę dać ci kombinację zamka do przejścia hangarowego. Musisz tylko dostać się do biura Mouldona, bo tam są drzwi do korytarza, i wejść do hangaru. Statek jest dwumiejscowy. Bez trudu dasz radę wylecieć nim z doliny.

Oczy Graya zwęziły się w ciemności.

– A gdzie jest haczyk?

– Nie ma żadnego. Przysięgam.

– Słuchaj, Ward. Ja nie jestem idiotą. Kto za tym stoi i dlaczego?

– To jest zupełnie nieistotne. Przecież wszystko, czego chcesz... uff!

Palce Graya zamknęły się na jego nadgarstku, jak stalowe szpony.

– Teraz zaczynam wszystko rozumieć – powoli powiedział Gray. – To właśnie dlatego wysłano mnie tutaj. Ktoś chciał, żebym narobił kłopotów Moultonowi. – Jego palce zacisnęły się jakby w agonii, a głos zmienił się w powolne cedzenie kolejnych słów.

– Nie lubię być pionkiem w partii szachów rozgrywanej przez kogoś innego.

– Okej, okej! To nie moja wina. Puść mnie. – Ward potarł obolały nadgarstek. – Pewnie, że ktoś -- nie mogę powiedzieć, kto -- wysłał cię tutaj, wiedząc że chcesz uciec. Ja jestem tu po to, żeby ci pomóc. Jeżeli wydostaniesz się na wolność, to ja dostanę swoją kasę, a Pan Gruba Ryba dostanie to, czego chce. Okej?

Gray milczał, ponuro wpatrując się w ciemność. Potem odparł:

– Okej. Idę na to ryzyko.

– A więc, posłuchaj. Powiesz Moultonowi, że chcesz mu złożyć skargę. Ja będę...

Ze szczękiem otworzyły się drzwi i światło zalało ciemne kwatery. Ward odskoczył jak zraniony królik, ale światło przyspiliło go i zatrzymało w miejscu. Czuł jak serce łomocze mu w piersiach podnieconym rytmem.

Długie, złowieszcze cienie strażników wydłużały jeszcze lufy karabinów. W kwaterach narastało poruszenie i mamrotanie, jak w wielkiej budzącej się ptaszarni.

– Ward i Gray – powiedział jeden ze strażników. – Pan Moulton chce was widzieć.

Gray podniósł się ze swojej koi z giętkim, elastycznym wdziękiem kota. Monotonia snu i pracy, została zakończona. Coś gdzieś pękło. Życie znowu było toczącą się rozgrywką.

John Moulton siedział za pełnym papierów biurkiem. Niedaleko, oparty o ścianę siedział ponury Dio Marsjanin. Obok niego stał wartownik, uważnie obserwujący wszystko co się działo.

Mel Gray zanotował te szczegóły, zaraz po tym kiedy on i Ward weszli do środka. Ale jego cyniczne niebieskie oczy, powędrowały natychmiast dalej, do drzwi z ciężkim zamkiem szyfrowym. Później przyciągnęło je jeszcze coś innego -- wysoka, szczupła postać, stojąca oparta o czarne panele kwarcowe przeciwległej ściany.

Po raz pierwszy zobaczył Jill Moulton. Wyglądała na doskonały przykład spokojnego apostoła prawości, z której on nauczył się tak drwić. A potem dostrzegł delikatną chmurkę czarnych loków, krzywiznę jej szyi ponad ciemną sukienką, czerwone wargi, które równoważyły zdeteterminowany kształt szczęki i bezpośrednio spoglądające szare oczy.

Pierwszy odezwał się Moulton. Jego kudłata głowa garbiła się między ramionami.

– Dio powiedział mi właśnie, że ty, Gray, nie jesteś ochotnikiem.

– Kapuś – odparł Gray. Oceniał odległość od drzwi do hangaru, pozycje strażników, czas jaki musiało zabrać obracanie tarczami, aby wybrać kombinację. I zdawał sobie sprawę, że nie da rady tego zrobić.

– Dlaczego ty i Ward nie spaliście, kiedy weszli strażnicy?

– Nie mogłem zasnąć – przyjaźnie oznajmił Gray. – On opowiadał mi bajeczki do snu. – Jill Moulton była śliczna, nie mógł temu zaprzeczyć. Śliczna, ale nie miękka. Nasunęła mu pewien pomysł.

Szczęka Moultona stężała.

– Skończ z tą komedią, Gray. Czy pracujesz dla Carona z Marsa?

Caron z Marsa, przewodniczący rady Interplanetary Prison Authority. Dio wspominał o nim. Gray uśmiechnął się ze zrozumieniem. To Caron z Marsa wysłał jego, Graya, na Merkurego. Caron z Marsa pomagał mu, za pośrednictwem Warda, w ucieczce. Caron z Marsa chciał zdobyć Merkurego, do swoich własnych celów -- i mógł to zrobić.

– Poniekąd mówiąc, Panie Moulton – oświadczył poważnym tonem, – Caron z Marsa pracuje dla mnie.

Usłyszał ostry syk protestującego Warda. W tym momencie Jill Moulton zrobiła krok do przodu.

– Może on nie rozumie, co robi, Ojczy. – Jej oczy napotkały spojrzenie Graya. – Chcesz uciec, czyż nie?

Gray studiował ją uważnie wzrokiem, uśmiechając się szeroko, w miarę jak na jej skórze, z wolna coraz wyraźniej zaczął się czerwienić rumieniec, a kąciaki warg zacisnęły się z gniewu.

– Proszę dalej – powiedział. – Ma pani miły głos.

Jej oczy zwęziły się, ale pohamowała swój temperament.

– Musisz zdawać sobie sprawę, co to by oznaczało, Gray. W więzieniach są obecnie tysiące weteranów. Oskarżenia są w większości przypadków trywialne, ale Prison Authority nie może ich wypuścić na wolność, ponieważ nie mają pracy, domów, ani pieniędzy.

Po chwili mówiła dalej.

– Tutejsze doliny są urodzajne. Są tutaj również kopalnie bogate w miedź, blendę uranową. Ludzie mają szansę znaleźć tutaj dom i pracę, udział w budowie nowej planety. Mamy nadzieję uczynić Merkurego niezależnym, samorządnym członkiem Ligi Światów.

– Oczywiście, z Moultonami u władzy – wymamrotał Gray.

– Jeżeli ludzie będą nas chcieli – odparła Jill, unikając ciosu. – Myślisz, że masz prawo do tego, aby zniszczyć to wszystko nad czym pracowaliśmy?

Gray milczał. Raczej ponuro, usiłowała mówić dalej.

– Caron z Marsa chętnie by nas widział pokonanych. Zanim nie odkryto tutaj radu, Merkury nic go nie obchodziło. Teraz jednak chciałby przekształcić go w jedno wielkie więzienie, w którym więźniowie byliby wykorzystywani do pracy w kopalni. Dzierżawiłby prawa górnicze korporacjom, zbijając wielkie fortuny dla siebie oraz swoich wspólników. Każdy kłopot tutaj, dałby mu wymówkę do tego by ogłosić, że zawiedliśmy, że Projekt stanowi zagrożenie dla całego Układu Słonecznego. Jeżeli spróbujesz ucieczki, zniszczysz wszystko co tutaj zrobiliśmy. Jeżeli nie powiesz nam prawdy, może to kosztować przyszłość tysięcy ludzi.

Rozłożyła ramiona.

– Czy to rozumiesz? Czy będziesz z nami współpracował?

Gray odparł stanowczo.

– Obecnie, obchodzi mnie tylko moja własna osoba. Nawet mój brat musiałby zatroszczyć się sam o siebie.

To było śmiesznie łatwe. Ona zachowywała się tak żarliwie, podeszła tak blisko do niego. Mimochodem zarejestrował krótki układ wydarzeń – ponure zaskoczenie Warda, gniewny ryk Moultona, zrywającego się jednym skokiem na nogi Dio, kiedy strażnicy chwycili za broń.

Wtedy jednak jego ręce otaczały już jej szczupłą, mocną szyję, a jej ciało, mocno przyciśnięte do jego, służyło mu jako tarcza przeciwko pociskom.

– Nie bądźcie za szybcy – spokojnie osadził ich w miejscu. – Jeżeli będę musiał, to bez trudu skręcę jej kark. Ward, otwórz drzwi.

Nie odzywając się ani słowem, Ward pomknął do drzwi i zaczął obracać tarczami. W końcu powiedział:

– Okej, chodźmy.

Gray uświadomił sobie, że spływa z niego pot. Jill była w jego rękach jak ciepły, sztywny, marmurowy posąg. Wpadł mu do głowy kolejny pomysł.

– Biorę dziewczynę jako zakładniczkę – oznajmił. – Jeżeli uda mi się stąd bezpiecznie wydostać, wypuszczę ją na wolność, nietkniętą na zdrowiu i cnocie. Dobranoc panom.

Szczęk zamykających się za nimi ciężkich drzwi, przyniósł mu prawdziwą ulgę.

Statek był pojazdem handlowym, dosyć powolnym, ale solidnym. Gray przywiązał ją do jednego z głębokich foteli w pomieszczeniu sterówki, a następnie sprawdził wskaźniki zapasu paliwa i powietrza. Zbiorniki były pełne.

– A co z tobą? – spytał Warda. – Nie możesz tam wracać.

– Nie. Muszę lecieć z tobą. Rozgrzej silniki, Duke, a ja otworzę kopułę.

Wyskoczył na zewnątrz. Gray ustawił silniki atmosferyczne na jałowy bieg. Kopuła rozsunała się, ukazując migoczące na niebie rozbłyski zorzy, w miejscach gdzie obszary intensywnego gorąca i zimna, poprzez

raptowne fluktuacje mieszających się mas powietrza, tworzyły w atmosferze duże różnice potencjałów.

Merkury, przecinający olbrzymie pole magnetyczne Słońca, po bardzo wydłużonej orbicie, narażony ponadto na dobową zmienność temperatur, od parzącego gorąca do mroźnego zimna, stanowił potężny generator elektryczności.

Ward nie wrócił.

Przeklinając pod nosem, z napięciem nasłuchując odgłosów pościgu, pomimo dziewczyny, Gray wyszedł z maszyny, aby się za nim rozejrzeć. Na zewnątrz hangaru dostrzegł biegnącą postać.

Biegła ona z całych sił pod górę, w głąb zwężającej się doliny, gdzie naturalne korytarze w skałach Merkurego prowadziły do miejsc zakotwiczenia miedzianych kabli, i dalej w niezbadane tajemnicze regiony kolejnych jaskiń.

Gray popatrzył za nim groźnym wzrokiem, a jego arogancki rzymski profil ostro rysował się na tle migoczącej zorzy. Potem z trzaskiem zamknął pokrywę wjazdu.

Statek z rykiem pomknął pośród wiatrów smagających równinę. Gray przełączył się na rakiety i wystrzelił w górę, w pozbawioną powietrza ciemność między najwyższymi szczytami.

Jill Moulton nie poruszyła się, ani nic nie powiedziała.

Gray pstryknął przełącznikiem i włączył radio kosmiczne, pozostawiając swój własny ekran ciemnym. Wkrótce wychwycił sygnały nadawane nieznanym mu kodem.

– Posłuchaj – powiedział do niej. – Wiedziałem, że musi być jakiś powód, dla którego Ward uciekł ode mnie.

Jego nie zdradzająca żadnych uczuć twarz, stwardniała.

– A więc na tym polega ta gra! Oni chcą narobić wam kłopotów, pozwalając mi na ucieczkę, aby potem zrobić z siebie bohaterów, sprowadzając mnie z powrotem, najchętniej martwego. Mają statki, czekające aby mnie złapać, zaraz jak tylko oderwę się od powierzchni Merkurego, i dostali ostrzeżenie o gotowości, od kogoś na powierzchni. Od tego kogoś, dla którego pracował Ward.

Z ust Jill wyrwał się lekki syk.

– Od kogoś, kto ma bazę blisko projektu...

Gray włączył swój nadajnik.

– Duke Gray, wzywa obce statki spoza Merkurego. Czy okręt flagowy waszego komitetu powitalnego, mógłby się odezwać?

Jego ekran zamigotał i rozjaśnił się. Pojawiła się na nim męska twarz –
– człowieka w średnim wieku, i pulchnych rysach, niemal fałszywie niewinna twarz, jednego z największych krzyżowców Układu Słonecznego, walczącego przeciwko występкови i zbrodni.

Jill Moulton sapnęła głośno.

– Caron z Marsa!

– Ward przekazał wszystko dalej – łagodnie stwierdził Gray. – Kiepska sprawa.

Twarz Carona z Marsa nigdy nie zmieniała swojego wyrazu. Ale za tymi zatopionymi w zwałach ciała oczyma, znajdował się sprytny mózg, pracujący na najwyższych obrotach.

– Mam tutaj pasażerkę – mówił dalej Gray. – Panna Jill Moulton. Odpowiadam za jej bezpieczeństwo, i z niechęcią myślę o przysporzeniu jej jakichś niedogodności.

Koniuszek bladego języka przesunął się po równie bladych wargach Carona.

– To wielka szkoda – stwierdził z intonacją wygłaszającego kazanie księdza. – Ale nie jestem w stanie zatrzymać, puszczonej już w ruch maszyny...

– A poza tym – zjadliwie dokończył jego słowa Gray, – masz nadzieję, że jeśli Jill Moulton zginie razem ze mną, złamie to Johna Moultona, tak że w ogóle zaprzestanie walki z tobą.

Jego szczupła ręka zawisła na przełączniku.

– W porządku, ty beko zgniłego mięcha. Spróbuj nas złapać!

Ekran zgasł. Gray zajął się sterami. Gdyby tylko udało mu się przemknąć koło nich, zgubić się w blasku Słońca...

Popatrzył na bok, na siedzącą obok niego dziewczynę o kamiennej twarzy. Przyglądała mu się pogardliwie, tymi swoimi twardymi, szarymi oczyma.

– Jak – powiedziała powoli – możesz być taką bezduszną świnią?

– Bezduszną? – Opanował kompletnie nieracjonalny gniew, który zaczął nim narastać. – Wcale nie. Wojna mnie nauczyła, że jeżeli ja nie będę pilnował własnych spraw, to nikt inny za mnie tego nie robi.

– A jednak, kiedyś musiałeś zaczynać jako istota ludzka.

Roześmiał się.

Statek wypadł na palące światło słoneczne. Słoneczna Strona Merkurego płonęła pod nimi jasnym ogniem. Od strony aksamitnej ciemności przestrzeni kosmicznej, burta jednego z oczekujących statków rozbłysła jaskrawym srebrem.

Nawet teraz, kiedy spoglądał w tamtym kierunku, ogień odrzutu silników rakietowych jego prześladowcy, odcinał się jasnym łukiem na tle czerni kosmosu. Zostali zauważeni.

Doświadczone oko Graya oceniło szybkość obcego statku, w porównaniu z jego własną, i delikatnie zaklął. Gwałtownie obrócił statek i pomknął w dół, wyłączając swoje rakiety, natychmiast kiedy tylko połknął ich cień planety. Na statku panowała niesamowita cisza, połączona z narastającym wyciem na zewnątrz, kiedy kadłub dotknął atmosfery.

– Co masz zamiar zrobić? – spytała Jill, niemalże niesłyszalnie.

Nic nie odpowiedział. Manewrowanie mknącym z taką szybkością statkiem, pomiędzy niesamowicie wysokimi szczytami, zajmowało jego całą uwagę. Przynajmniej Caron, nie będzie mógł za nimi podążać w tych ciemnościach, nie wykorzystując flar do pomocy w sterowaniu.

Przemknęli przez smaganą wiatrami równinę, wpadając w ujście doliny, gdzie Gray musiał ciężko pracować sterami i ostro hamować, aby zatrzymać się pod kablami.

– Mógłbyś przemknąć się obok nich – powiedziała Jill.

– Jednak szansa na sto.
Jej usta wykręciły się w grymasie.
– Boisz się zaryzykować?
Uśmiechnął się szorstko.
– Nie dotarłem jeszcze do stanu, w którym zabijałbym kobiety. Będziesz tutaj bezpieczna -- ludzie znajdą cię jutro rano. Ja wracam tam, ale sam.
– Bezpieczna! – wypomniała mu gorzko. – Tylko po co? Obojętnie co się stanie, projekt jest skończony.
– Nie bój się – przerwał jej brutalnie. – Znajdziesz sobie jakiś inny sposób na życie.
Jej oczy zapłonęły.
– Myślałeś, że to wszystko o co nam chodzi? Tylko o władzę i pieniądze? – Dokończyła szeptem. – Mam nadzieję, że cię zabiją, Gray!

Powolnym ruchem wstał i otworzył śluzę powietrzną, a następnie odwrócił się do niej i ją uwolnił. W tym momencie, w jednej chwili, dolina została skąpana w rozbłysku światła.

– Niech to diabli! – Gray usłyszał nad nimi odgłosy pracy silników atmosferycznych. – Musieli mieć promienie przeszukujące w podczerwieni. No cóż, to załatwia sprawę. Będziemy musieli przed nimi uciekać, ponieważ ta krypa nie jest uzbrojona.

Zabrzęczało teleradio, którego sygnał zabrzmiał niesamowicie niestosownie. Jednakże nocą, już po przejściu wieczornych burz, pewna komunikacja była możliwa.

Gray miał przeczucie. Przerzucił przełącznik i na ekranie ukazała się twarz Johna Moultona. Była zupełnie biała, ale dziwnie opanowana.

– Nasi strażnicy dostrzegli twój statek lecący nad równiną – spokojnie oznajmił Moulton. – Ludzie z Projektu, prowadzeni przez Dio, już po ciebie idą. Wysłałem ich, ponieważ podjąłem decyzję, że życie mojej córki, jest mniej istotne niż życie wielu tysięcy ludzi. Apeluję do ciebie, Gray, żebyś pozwolił jej odejść. Jej życie i tak cię nie uratuje. A dla mnie jest bardzo cenne.

W górze, tuż ponad kablami, przemknął statek Carona i miażdżący podmuch wybuchu bomby uniósł jego statek, i odrzucił go do tyłu, ze zniszczoną, nie nadającą się do użytku, częścią rufową. Ekran zrobił się ciemny.

Gray pochwycił na wpół oszołomioną dziewczynę.

– Wielkie nieba, chciałbym móc się ciebie pozbyć – zawołał błagalnie. – Ale sam nie wiem, dlaczego tego nie robię.

Jednak ona nadal była razem z nim, kiedy wyruszył w głąb doliny, zmierzając do jaskiń mieszczących się w skalnych ścianach, w górze, gdzie zakotwiczone były miedziane kable.

Statek Carona, szybki, mały myśliwiec, zakreślił pomiędzy ścianami skalnymi i zawrócił w ich stronę. Gray upadł płasko na ziemię, zakrywając sobą dziewczynę. Bomby obrzuciły ich pyłem i powyrywanych roślinami,

wznieciły pożary w zbożu. Pilot znalazł przerwę w kablach, dostatecznie dużą, żeby wlecieć pod nie i wylądować.

Gray był już na nogach i znowu biegł. Znał drogę do przebadanych już korytarzy. Stamtąd, dalej, można było już tylko się domyślać.

Caron rozgrywał to zupełnie otwarcie. Subtelny sposób zawiódł. Teraz miał zamiar pójść na całość. A przy tym on sam, był naprawdę zupełnie bezpieczny. Przy pozrywanych kablach, działających jako przewodniki, pierwsza burza z piorunami zatrze wszystkie ślady jego działań w tej dolinie. Merkury, z powodu swojego wysokiego potencjału elektrycznego, pozbawiony był możliwości komunikacji z innymi planetami. Moulton, nawet jeżeli miałby wiedzę o tym, co się dzieje, nie mógł wysłać wezwania pomocy.

Gray zastanawiał się przez chwilę, co Caron miał zamiar zrobić, w przypadku gdyby jemu, Grayowi, udało się jednak uciec. Ci jego ludzie w głównej dolinie, do których uciekł Ward, nie byli utrzymywani tylko dla zabawy. Poza tym Caron był zbyt sprytny, żeby mieć tylko jedną strzałę w kołczanie.

Wokół nich rozlegały się krzyki i trzaski wystrzałów. W górze wyłonił się wąski szlak. Gray pokazał dziewczynie, żeby zaczęła się nim wspinać.

Ponad najwyższymi szczytami zaczęły pojawiać się rozbłyśki Słońca. Czarny cień zalegający w dolinie nadal jednak był nietknięty. Statek Carona odleciał z rykiem silników. Ale sześciu ludzi z jego załogi, nadal ścigało Graya i Jill Moulton.

Wkrótce pochłonęła ich chłodna ciemność wejścia do tunelu. Trzymając się prawej strony, aby obejść wielkie miedziane filary, mocujące kable przeciągnięte przez dziury, wydrążone w litej skale zewnętrznej ściany korytarza, Gray ponaglił dziewczynę by szła przed nim.

W ścianie otworzyła się rozpadlina, której szukała jego ręka. Wciągnął dziewczynę do środka, otaczając ją ramieniem, a następnie stali, uważnie nasłuchując.

Na zewnątrz odbiły się echem czyjeś kroki, robiły się coraz głośniejsze, a potem przeszły obok nich. Nie było widać żadnego światła. Kroki były jednak zbyt pewne, aby mogły być wykonywane w ciemności.

– Podczerwone reflektory i gogle – zwięźle objaśnił Gray. – Ty wszystko widzisz, a twój przeciwnik nie. Przydatne urządzenie. Idę dalej.

– Ale gdzie? Co masz zamiar zrobić?

– Uciec, dziewczyno. Pamiętasz? Oni zniszczyli mój statek. Ale gdzieś na Merkurym muszą być jakieś inne. Mam zamiar je odnaleźć.

– Nie rozumiem.

– I prawdopodobnie nigdy nie zrozumiesz. Tutaj cię zostawię. Twój marsjański Galahad powinien pojawić się w ciągu paru minut. Zabierze cię do domu.

Jej głos dobiegający z ciemności, był łagodny i zaintrygowany.

– Nie rozumiem cię, Gray. Nie chciałeś zaryzykować mojego życia. Zwracasz mi wolność, wiedząc że w razie potrzeby mogłabym cię

uratować. Wiedząc, że będę cię ściagała i złapię, jeżeli tylko zdołam. Myślałam, że jesteś zatwardziałym cynikiem.

– A co sprawia, że pomyślałaś inaczej?

– Gdybyś naprawdę nim był, to wyrzuciłbyś mnie ze statku przez zsypana śmieci i uciekł. Z pewnością nie wróciłbyś tutaj.

– Powiedziałem ci przecież – odparł szorstko, – Ja nie zabijam kobiet.

Odwrócił się i odszedł, ale usłyszał za sobą jej natarczywy chichot.

– Gray, jesteś głupcem. Zatraciłeś się w nieprawdzie -- i nawet w swoich kłamstwach nie jesteś szczery.

Zatrzymał się, ogarnięty nagłą falą gniewu. Ze ścieżki pod wejściem do korytarza doleciały głosy biegnących ludzi. W milczeniu zerwał się do biegu, podążając za zamierającymi echemi ludzi Carona.

– Uciekaj, Gray! – krzyknęła za nim Jill. – Bo my, będziemy cię ścigać!

Tunele, pradawne dziury pozostałe po erupcjach gazów wulkanicznych, które torturowały Merkurego podczas wypiętrzania się tytanicznych gór, tworzyły prawdziwy labirynt, przenikający skomplikowaną siecią wnętrza olbrzymich szczytów. Tylko korytarze położone w pobliżu dolin zostały pobieżnie przebadane. Ludzkość zbyt krótko jeszcze zamieszkiwała Merkurego.

Gray słyszał szukających go ludzi Carona, krążących wokół po zagmatwanej sieci połączonych tuneli. Dowodziło to tego, co już sam wiedział. Podjął desperackie ryzyko. Ale droga wstecz była już zamknięta, a on był przyzwyczajony do podejmowania ryzyka.

Geografia całej okolicy stała mu wyraźnie przed oczyma. Dolina z której właśnie uciekł i główna dolina, tworzyły kąt rozwarty, z wierzchołkiem wychodzącym na smaganą wiatrami równinę i dwoma grzbietami górskimi leżącymi w środku, pomiędzy jego bokami.

Gdzieś przez te góry musiało prowadzić przejście. Gdzieś tam znajdowało się lądowisko, i dziesięć do jednego, że stał na nim jakiś statek. Caron nigdy nie zostawiłby swoich ludzi bez możliwości odlotu. Nie mógł ryzykować, że ktoś ich odkryje i wykorzysta jako dowód przeciwko niemu.

Ludzie, którzy teraz go ścigali, wiedzieli jaką drogę pokonali tunelach, prawdopodobnie przy pomocy oznaczeń, które fluoryzowały w świetle podczerwonym. Jego również będą widzieli.

Podchodzili coraz bliżej. Czekał dalej, w górze głównego korytarza, w wejściu do bocznego tunelu. Po pewnym czasie, za nimi, usłyszał ludzi Dio. Hałasy jakie robił zespół Carona, urwały się, a potem rozpoczęły ponownie, cichsze.

Gray uśmiechnął się, przypadło to do gustu jego poczuciu humoru. Czekał, z narastającym napięciem.

Szelest materiału ubrań, cichutkie skrzypnięcia skóry, pobrząkiwanie metalowego ekwipunku. Ciężkie oddechy. Czyjś szept:

– Kto u diabła, jest tam za nami?

– To muszą być ludzie z Projektu. Lepiej pośpieszmy się.

– Najpierw musimy znaleźć tego przeklętego Graya – warknął ponuro pierwszy głos. – Jeżeli tego nie zrobimy, Caron usmaży nas na wolnym ogniu.

Gray naliczył sześć różnych odgłosów kroków, próbując odrzucić te, które uznał za echa. Kiedy uznał, że minął go ostatni człowiek, wyszedł ze swojej kryjówki. Odgłosy polowania ludzi Dio, robiły się coraz głośniejsze. Musi tam ich być całkiem spora gromada.

Podkradł się do idących przed nim ludzi, zagłuszany przez echa ich własnych kroków. Jego ręka macając w ciemnościach, musnęła delikatnie ubranie człowieka idącego na końcu grupy. Oceniając odległość od niego, szybko ruszył do akcji.

Jedna ręka zacisnęła się mocno na ustach mężczyzny. Druga, trzymająca kawałek skały, o solidnych rozmiarach, uderzyła go tuż za uchem. Gray wypuścił bezwładne ciało na podłogę, z leciuteńkim szmerem.

Ich uniformy, jak wcześniej zauważył, nie różniły się specjalnie od jego więziennego stroju. W ciągu sekundy zerwał z ciała swojej ofiary gogle, czapkę oraz odpiął pas z bronią, i podążył za pozostałymi.

W dziwnym świetle lampy ich dowódcy, poruszali się jak pięć widmowych cieni. Małe, fluorescencyjne znaczniki, wskazywały im drogę. Ostatni z ludzi chrząknął przez ramię, do tyłu.

– Co ci się stało?

– Potknąłem się – zwięźle wyszeptał Gray, pochylając nisko głowę. Szept pozwala dobrze zamaskować głos. Jego rozmówca skinął głową.

– Nie zostawaj z tyłu. Zgubić się tutaj, to nic zabawnego.

Przerwał im dowódca.

– Zatoczmy kolejne koło. Uważajcie na tę bandę z Projektu. Oni będą używać zwykłego światła. I zachować ciszę!

Wędrowali tak, rozgałęziającymi się korytarzami. Hałasy grupy Dio, zrobiły się niepokojąco głośne. W pewnej chwili, dowódca zaklął.

– Caron, czy nie Caron, on uciekł. I my lepiej również stąd znikajmy.

Skręcił do zewnątrz, w inny tunel, i Grayowi wyrwało się bezgłośnie westchnienie ulgi. Pamiętał o ciele, które zostawił na środku korytarza. Przez jakiś czas, hałasy powodowane przez podążających za nimi, wydawały się robić coraz bardziej odległe. Wtedy jednak, nagle rozległ się dudniący rumor kroków, i na ścianie znajdującego się przed nimi poprzecznego korytarza zobaczyli odbłask światła latarek.

Do Graya doleciały głosy, zniekształcone przez odbicia od skał.

– Jestem pewna, że ich usłyszałam, właśnie wtedy. – To był głos Jill.

– Taaa. – To był Dio. – Problem polega na tym, gdzie?

Odgłosy kroków umilkły. Potem:

– Spróbujmy tego korytarza. Nie chcemy zagłębić się zbyt daleko w ten labirynt.

Dowódca ludzi Carona zaklął cicho i uskoczył w boczny tunel. Następny człowiek za Grayem potknął się i wrzasnął z bólu, kiedy uderzył się o ścianę, a za nimi zaczęły narastać coraz silniejsze krzyki.

Dowódca ruszył biegiem, klucząc, skręcając i zmieniając kierunek w labiryncie mniejszych tuneli. Odgłosy pościgu umilkły, gubiąc się w grobowej ciszy jaskiń. Jeden z mężczyzn roześmiał się.

– Z pewnością ich zgubiliśmy!

– Taaa – odparł dowódca. – Zgubiliśmy ich, w porządku. – Gray wychwycił w jego głosie nutę paniki. – Ale zgubiliśmy również znaczniki.

– Chcesz powiedzieć...

– Taaa, takie kluczenie załatwiło sprawę. Jeżeli nie uda nam się znaleźć tego oznaczonego tunelu, jesteśmy utopieni.

Stojący w cieniu, milczący Gray, roześmiał się w myślach gorzkim, ironicznym śmiechem.

Szli dalej, potykając się, przemierzając niekończące się, czarne korytarze, gubiąc wszelką rachubę rozwidlających się przejść, z wysiłkiem starając się dojrzeć pierwszy błysk zbawczego światła. Raz, czy dwa pochwycili echa grupy Dio, i zorientowali się, że oni również zgubili się i wędrowali na ślepo.

Po pewnym czasie, zupełnie nagle, weszli do olbrzymiego korytarza, ciągnącego się prosto w obie strony, jak tunel metra. Wiał nim silny wiatr, gorący jakby dmuchał prosto od strony płonących bram Piekieł.

Minęła chwila, zanim ktokolwiek pojął znaczenie tego wiatru. Potem jeden z nich krzyknął.

– Jesteśmy uratowani. Musimy po prostu pójść pod ten wiatr!

Skręcili w lewo, niemal biegnąc prosto w paszczę palącego podmuchu. Gray zaczął zastanawiać się nad pewną szczególną rzeczą.

Powietrze było naładowane elektrycznością. Jego ubranie zeszytywniało i zaczęło trzeszczeć. Włosy na głowie stanęły mu dęba. Widział wyraźnie niewielkie iskierki wyładowań na swoich towarzyszach.

Czy był to skutek naładowanego powietrza, czy reakcja na napięcie nerwowe ostatnich, w każdym razie Mel Gray zaczął się bać.

Zmęczeni aż do krańcowego wyczerpania, zmagali się z palącym wiatrem. W końcu zawędrowali do wielkiej jak katedra pieczary, rozjaśnianej przez dziwnie nieokreślone, niebieskawe światło.

Gray wychwycił ostry zapach ozonu. Całe ciało swędziało go od ładunku elektrycznego. Błękitnawe światło zdawało wydobywać się z dziwnych bryłek porzrzucanych po skalnym podłożu. Pęd wiatru sunącego przez tę olbrzymią pieczarę, był przerażająco silny.

Zatrzymali się. Gray starał trzymać się z tyłu. Uznał, że nadszedł czas, aby rozstać się ze swoimi mimowolnymi pomocnikami. W chwili, kiedy wydostaną się na światło słoneczne, natychmiast zostanie rozpoznany.

Ostrożnie, na palcach jak kot, już zdołał skryć się pośród głębokich cieni nierównych ścian, kiedy usłyszał ludzkie głosy.

Dobiegały one z prawej strony, zmieszane krzyki ludzi działających w strasliwym napięciu. Robiły się coraz głośniejsze, podkreślane jeszcze przez tupot nóg. Nagle, w ciemnościach panujących w pieczarze, zabłyśły

światła i z wyjścia dużego tunelu, znajdującego się jakieś sto jardów dalej, do jaskini wylali się ludzie z Projektu.

I wtedy, jeden z ludzi Carona zaczął wrzeszczeć, ostrym głosem, z całej siły i zupełnie nieoczekiwanie.

Bryłki niebieskiego światła poruszały się. A człowiek był martwy. Leżał na skalnej podłodze pieczary, a jego ciało zmieniło się w poczerniałą galaretę. Od metalowej kolby jego broni, do metalowych guzików na czapce, strzelał wąż palającego światła.

Na całej powierzchni podłogi wielkiej pieczary, z wolna formowały się dziwne, poruszające się zmarszczki. Porozrzucane przedtem bryłki, teraz zlewały się i płynęły razem, zmierzając falami niebieskich płomieni w stronę ludzi.

W tym momencie na Graya spłynęło olśnienie. Te stworzenia były jakąś formą życia energetycznego, zrodzoną w ogromnych potencjałach elektrycznych na Merkurym. Jak elektryczność każdego rodzaju, były one przyciągane przez metal.

Z nagłym gorączkowym pośpiechem, zdarł z siebie otoczone metalową ramką gogle, czapkę i pas z bronią. Moultonowie zabronili używania metalowych rzeczy, z powodu zagrożenia piorunami, a jego buty wykonane były z gumy. Tak więc czuł się w miarę bezpiecznie, ale napięcie przeganiało mu po skórze fale kłujących dreszczy.

Zaczęły trzaskać pistolety, ich słabe odgłosy strzałów, tonęły w potężnym podmuchu wiatru. Pociski uderzały w napływające fale światła, nie powodując żadnego poważniejszego efektu poza wybuchami pióropuszy iskier. Uwagę Graya, jakoś przyciągała przede wszystkim Jill, stojąca z Dio, na czele swoich ludzi.

Miała na sobie tylko lekkie pantofle, zakładane jedynie do chodzenia po wnętrzach budynków. W dodatku na jej talii i szyi wisiały srebrne ozdoby.

Mógłby wtedy uciec, zupełnie niezauważony. Zamiast tego, z powodów, których sam do końca nie był w stanie zrozumieć, pobiegł w stronę Jill Moulton.

Pierwsze zmarszczki niebieskiego ognia dotknęły szeregów ludzi Dio. Jego wyładowania skoczyły w górę, aby przyczepić się do rękojeści pistoletów, sprzączek pasów z ładownicami. Ludzie krzyczeli, upadali i umierali.

Spoza pleców Dio i dziewczyny, strzeliła na zewnątrz Salwa z broni palnej. Pistolety czterech pozostałych przy życiu ludzi Carona, tym razem milczały.

Gray przeskoczył ponad tą syczącą falą elektrycznego przypływu, biegnąc w stronę Jill. Głódny język światła, wzniósł się do góry, szukając broni Dio. Ręka Graya odrzuciła go w dół, gdzie natychmiast został pogrzebany w masie innych świecących węży. Zaostrzona twarz Dio spojrzała na niego z zaskoczeniem i gniewem.

Jill krzyknęła głośno, kiedy Gray zerwał srebrne ozdoby z jej sukienki.

– Rzućcie broń! – zawołał. – To metal je przyciąga!

Usłyszał swoje nazwisko wykrzykiwane przez ludzi, momentalnie wyrwanych z osłupienia i grozy. Dio zawołał:

– Zastrzelić go!

Kilka kul ze świstem przeleciało tuż obok niego, ale bezpośrednie zagrożenie, nie pozwoliło ludziom zachować na tyle chłodnej krwi, by go trafić.

Gray złapał Jill i zaczął uciekać w kierunku tunelu, z którego wiatr z wyciem wpadał do jaskini. Za nim, z ponurą twarzą, podążał Dio.

Elektryczne zwierzęta, nie zauważały ich. Izolowane stopy Graya deptały po nich, zagłębiając się aż po kostki w żywym ogniu. Czuł jak dziwnie wiotkie ciała rozgniatają się i zmieniają kształty.

Wiatr, który napotkali w wejściu do tunelu, stanowił dla nich niemal fizycznie istniejącą barierę. Gray położył Jill na podłodze. Wiatr chciał go niemalże zadusić. Zerwał kurtkę i owinał ją wokół głowy dziewczyny, wykorzystując koszulę do owinięcia swojej. Czarne loki Jill chłostały zupełnie rozprostowane, próbując odepchnąć go do tyłu. Zobaczył jak Dio zbliża się do niech, zgięty w pół walcząc z wiatrem.

Zobaczył jeszcze coś. Coś, co spowodowało, że chwycił Jill i ruszył dalej, a przez jego ciało przeszedł szybki zimny dreszcz.

Elektryczne bestie zakończyły już swoją zabawę. Zabici byli już jedynie kopczykami popiołu na skale. Ci, którzy przeżyli, uciekli z powrotem w tunele. A teraz morze niebieskiego ognia płynęło ponownie, prosto w stronę miejsca, w którym stali.

Płynęło przy tym szybko, a Gray wyczuwał jego pośpiech, nieludzką potrzebę, tak jakby te żywe węże ognia były ponaglane jakimś jednym rozkazem.

Razem z wiatrem doleciał pierwszy stłumiony pomruk pioruna. Gray chwycił Jill i ruszył tunelem pod górę.

Podmuch wiatru, sprężony w wąskim skalnym przejściu, uderzał w nich, oślepiając i pozbawiając tchu. Zmusił ich do przywarcia ciałem do ziemi i czołgania się. Jak wiele czasu miało im to zająć, nikt nie był w stanie powiedzieć.

Gray dojrzał przelotnie, że Dio Marsjanin czołga się za nimi, a za nim z kolei podąża niewstrzymana rzeka ognistych stworzeń.

Dobrnęli w końcu na zewnątrz, na skalisty występ, zsunęli się na zbocze, poniżej zasysającego prądu powietrza, i leżeli nieruchomo, ciężko oddychając. Było gorąco. Nagle trzasnął piorun, a między ścianami skalnymi zapłonęła błyskawica.

Gray poczuł raptowny skurcz serca. Turaj nie było kabli.

Wtedy go zobaczył. Mały, szybki myśliwiec stojący pod nimi, na płaskim plateau. Wejście do znajdującej się za nim jaskini, było zamknięte plastikowymi wrotami. Był to ten sam statek, który podążał za nimi. Gray domyślał się, że za ochronnymi wrotami, znajduje się kolejny.

Wstał, odgarniając z oczu splątane jasne włosy.

Jill ciągle siedziała, czarne loki opadały jej łukiem pomiędzy rękoma. Czasu nie było zbyt dużo, ale Gray poddał się impulsowi. Odchylając jej głowę za jedwabiste włosy, pocałował ją.

– Jeżeli kiedyś zmęczysz się prawością i cnotą, kochanie, możesz spróbować mnie. – Ale jakoś nie uśmiechnął się przy tym, tylko pobiegł w dół zbocza.

Był już prawie przy otwartym wlocie statku, kiedy wydarzyło się kilka rzeczy. Z wietrznego tunelu zataczając się wyszedł Dio i opadł koło Jill. Potem, raptownie, otworzyły się plastikowe wrota.

Wyszło z nich pięciu ludzi. Jeden był w stroju pilota, dwóch w jakimś nieokreślonym ubiorze, kolejny w drogim ubraniu biznesmena, i piąty w ciemnej więziennej odzieży.

Gray rozpoznał w ostatnich dwóch, Carona z Marsa i zbiegłego Warda.

Najwyraźniej mieli zamiar zaraz odlecieć. Wyglądali jednak na bardzo czymś uradowanych. Z obrzydliwie słodkiej twarzy Carona, niemal sączył się miód, a Ward szerzył zęby w swoim szczurzym uśmiechu.

Zahuczał grzmot, przetaczając się pomiędzy skałami. W chmurnym półmroku zapłonęła błyskawica. Za otwartymi wrotami, Gray dostrzegł kadłub drugiego statku. Wtedy przybysze zobaczyli jego i pozostałą dwójkę na zboczu.

Wyrwali pistolety z kabur. Serce Graya zaczęło wolno walić. On, Jill i Dio zostali pochwyceni na gołym stoku, z rzeką elektrycznej śmierci za plecami.

Jego kamienna twarz stwardniała. Kiedy zawrócił i ruszył po zboczu do góry, zaświstały wokół niego kule, ale biegł coraz wyżej zgięty w pół, wszystkie swoje nadzieje pokładając w niepewnym, zwodniczym świetle.

Jill i Marsjanin przykucnęli jak sparaliżowani, nie wiedząc w którą stronę się obrócić. Światło błyskawicy pokazało Grayowi pierwsze z ognistych stworzeń, wypływające na występ skalny, niewidoczne dla znajdujących się na dole ludzi.

– Z powrotem do jaskini! – wrzasnął z całych sił. Jego pośpieszająca ręka, niemal uniosła Dio do góry. Marsjanin obrzucił go pełnym ognia spojrzeniem, ale potem posłuchał. Kule z wizgiem odbijały się od skał. Światło było za słabe, aby można było dokładnie wycelować, ale szczęście nie mogło towarzyszyć im wiecznie.

Kiedy wspinali się na występ, Gray obejrzał się przez ramię. Caron czekał przy statku. Ward i pozostali szarżowali po zboczu. Zęby Graya zaświeciły w okrutnym uśmiechu.

Złapał Jill na ręce i wszedł w opływający nogi potok ognia. Dio zaklął paskudnie, ale podążał za nim. Ruszyli w stronę wejścia do jaskini, zataczając się od wściekłych podmuchów wiatru.

– Na miłość Boską, tylko nie upadnij – ostro rzucił Gray. – Oni już tu są!

Jako pierwsi pojawili się pilot i jeden z ludzi o nieokreślonej funkcji. Wpadli w rzekę ognia, zanim ją w ogóle zauważyli, a potem było już za późno. Nieokreślony przewrócił się i spłonął. Pilot poleciał do tyłu, a pod jego ciałem zgiął także drugi z nieokreślonych, ze skrzyconym karkiem. Ward zatrzymał się. Gray był w stanie dostrzec jego twarz, ciemną,

twardą, kalkulującą. Przyglądał się Grayowi, Dio, i martwym ludziom. Odwrócił się i popatrzył na dół, na Carona. Potem, celowym ruchem, odpiął swój pas z kaburą, wyrzucił trzymaną w ręku broń zaczął brnąć przez rzekę.

Gray przypomniał sobie wtedy, że Ward również nosił gumowe buty i nie miał na sobie nawet kawałka metalu.

Ward zbliżał się do nich, świecące węże prześlizgiwały się jak fale wokół jego butów. Bardzo ostrożnie, Gray podał Jill Dio.

– Jeżeli ja również zginę – powiedział mu, – to tam na dole jest tylko Caron. On jest za gruby, żeby dać ci radę.

Jill coś powiedziała, ale on był już odwrócony do niej plecami. Poczuł nagłe zmieszanie, i możliwość zatopienia się w walce, wydała mu się niemal przyjemna. Ward zatrzymał się jakieś pięć stóp od niego. Odwiązał długi kawałek mocnego sznura, który służył mu za pas.

Gray skinął głową. Ward będzie próbował rzucić nim tak, aby owinał mu się wokół kostki, a potem go przewrócić. Kiedy jego ciało dotknie tych rojących się stworzeń...

Czujnie naprężył mięśnie. Na ciemnej twarzy Warda pojawił się charakterystyczny szczurzy uśmiech. Sznur wystrzelił do przodu.

Ale owinał się wokół szyi Graya, a nie jego kostki!

Ward roześmiał się i zaparł się nogami. Przeklinając, Gray złapał za sznur. Ale dobrze zaciągnięty, trzymał się mocno, a Ward ciągnął nieustępliwie. Twarz Graya zrobiła się purpurowa. Ciągłe jednak rozpamiętywał strategię Warda. Atakując szyję, wziął Graya z zaskoczenia, i zyskiwał więcej, niż utracił na miejscu założenia dźwigni.

Pozwalając pociągnąć swoje ciało, Gray poleciał w stronę Warda. Krew niemal go oślepiała, a serce waliło jak młotem, ale wydawało mu się, że przewidział kolejny ruch swojego przeciwnika. Pozwolił się przyciągnąć niemal na odległość ciosu.

Potem, kiedy Ward zrobił kroczek w bok, szarpiąc sznurem i wystawiając nogę do podcięcia, Gray kocim ruchem ciała, przesunął punkt ciężkości, i pochylił się.

Jego ręce niemal dotknęły tych dziwnych przepływających fal, kiedy zacisnął palce na łydce Warda. Korzystając ze wszystkich sił wyprostował się podnosząc rękę i odrzucił Warda do tyłu.

Ward wrzasnął tylko raz, i zniknął pod powierzchnią niebieskiego ognia. Gray zerwał sznur ze swojej szyi. A wtedy nagle cały świat zaczął kołysać mu się pod nogami. Zdawał sobie sprawę, że upada.

Czyjaś ręka złapała go i podtrzymała. Walczył z ogarniającą go słabością, dopóki nie odzyskał oddechu. Zauważył, że to była Jill.

– Dlaczego? – wysapał ciężko, ale jej odpowiedź utonęła w tytanicznym grzmocie pioruna. Rozbłysła błyskawica. Doleciał do niego głos Dio, słaby i odległy z powodu panującego hałasu.

– Zginiemy tutaj! Te przekłete stworzenia będą przyciągać pioruny!

To była prawda. Cała jego praca miała pójść na marne. Spoglądając w górę, na nisko wiszące, gniewne niebo, Gray zdawał sobie sprawę, że tutaj umrze.

Zupełnie od rzeczy, przypomniał sobie słowa Jill, jakie wypowiedziała w tunelu.

– Jesteś głupcem... zatraciłeś się w nieprawdzie ... w swoich kłamstwach nie jesteś szczery!

Teraz, w takiej chwili, nie mogła go okłamać. Złapał ją gwałtownie za ramiona, próbując wyczytać prawdę z jej oczu.

Bardzo słabo, przez panujący wokół zgiełk, usłyszał jej słowa.

– Bardzo mi ciebie żal, Gray. Jesteś dobrym człowiekiem, któremu zmarnowano życie.

Dio wyrwał się głośny wrzask. Pomiedzy rezonującymi ścianami skalnymi zahuczał potężny grzmot. Gray popatrzył do góry.

Prosto w ich stronę, zmierzała gigantyczna błyskawica. Płonące niebieskie fale, były wyraźnie poruszone wysuwając w górę nibynóżki, w niesamowity sposób przywodzące na myśl, wzniesione ręce tłumu czcicieli. Piorun uderzył.

Powietrze wypełniło się ozonem, ale Gray nie poczuł żadnego wstrząsu. Rozległo się syczenie, i otaczające go stworzenia zawirowały w potężnym poruszeniu. Niebieskie światło zapłonęło jaśniej, zabarwiło się na purpurowo.

Uderzył kolejny piorun, i jeszcze jeden, a oni nadal nie byli martwi. Ogniste stworzenia zmieniły się w wijące się, radosne kłębowisko wiotkich ciał, świecące coraz jaśniej i jaśniej.

Trójka ogłuszonych ludzi stała, nie dowierzając w to, co się wydarzyło. Światło zmieniło się teraz w rażący oczy fiolet. Elektrostatyczne iskry przebiegały w niesamowitych falach, przez otaczające ich stworzenia. Ale zupełnie ich nie parzyły.

– Mój Boże – wyszeptał Gray. – One to jedzą. One zjadają błyskawice!

Nie śmiejąc się poruszyć, stali obserwując cud obcego życia, pożywianie się żywych stworzeń, czystym prądem elektrycznym. A kiedy uderzył ostatni piorun, przypływ zmienił kierunek i odtoczył się oślepiającą rzeką żywego światła, z powrotem na dół, przez wypełniony wiatrem tunel.

W milczeniu, trójka ludzi zeszła skalistym zboczem, do miejsca gdzie Caron z Marsa krył się w swoim srebrzystym statku. Żaden piorun nie uderzył w jego pobliżu. W pewnej chwili Caron wyszedł im na spotkanie.

Twarz miał ziemistą ze strachu, ale w jego oczach nadal czał się dawny spryt.

– Gray – zaproponował. – Mam dla ciebie pewną ofertę.

– Słucham?

– Zabiłeś mojego pilota – powiedział słodko. – Ja sam nie potrafię latać. Zabierz mnie stąd, a ja zapłacę ci tyle, ile zażadasz.

– Kulami – odparł Gray. – Nie chcesz żadnych świadków, tego co się tutaj dzieje.

– Okoliczności zmuszają mnie do zmiany stanowiska. Pod względem fizycznym, masz przewagę.

Palce Jill pochwyciły go za rękę.

– Nie rób tego, Gray! Projekt...

Caron odwrócił się twarzą do niej.

– Projekt jest i tak już skazany. Moi ludzie wykonali otrzymane dodatkowe instrukcje. Wszystkie kable w waszej dolinie zostały przecięte. Teraz właśnie zbiera się tam burza, gotowa jest już do uderzenia. Za mniej więcej piętnaście minut, wszystko poza kopułami, zostanie zniszczone. Godne pożalowania, ale... – Wzruszył ramionami.

Jill zapłonęła, a gniew tak zdusił jej gardło, że ledwie mogła mówić.

– Popatrz tylko na niego, Gray – wyszeptała. – To jest właśnie człowiek, za którego tak dumnie pragnąłeś uchodzić. Cynik, który nie wierzy w nic, poza sobą samym. Popatrz tylko na niego!

Gray odwrócił się do niej.

– Niech cię diabli! – zazgrzytał zębami. – Jak możesz się spodziewać, że ci uwierzę, kiedy świat jest pełen takich hipokrytów jak on?

Jej oczy go powstrzymały. Pamiętał przecież Moultona, błagającego o jej życie. Pamiętał jak wyglądała wtedy, w tunelu, kiedy byli pewni, że czeka ich śmierć. Część z jego pewności, co do swoich racji, została naruszona.

– Posłuchaj – szorstko zaproponował. – Mogę uratować tę waszą dolinę. Jest jedna szansa na milion, wyjścia z tego żywym. Czy jesteś gotowa umrzeć za to w co wierzysz?

Zawahała się, tylko przez sekundę. Potem popatrzyła na Dio i powiedziała:

– Tak.

Gray odwrócił się. Niemal leniwie, jego pięść śmignęła w powietrzu i wylądowała na obwisłej szczęcie Carona.

– Zajmij się nim, Dio – wymruczał. Potem wszedł na pokład statku, popędzając przed sobą pobladłą dziewczynę.

Statek wystrzelił do góry, ponad atmosferę, gdzie oślepiające światło słoneczne rzucało ostre cienie na skały. Przelecieli ponad grzbietem górskim i ruszyli ponownie w dół, w dolinę, w której pod grubą warstwą chmur burzowych, krył się Projekt.

Przełączając się na silniki atmosferyczne, Gray opadał coraz niżej. Połknęła ich czarna, rycząca ciemność. Potem zobaczyli dolinę. Miedziane kable leżały na ziemi, a zboże w kilku miejscach stało już w płomieniach.

Wykorzystując w locie każdy, najmniejszy nawet, skrawek swoich umiejętności, wyszukał najwęższą część doliny i rzucił nad nią statek w szaleńczą pętlę. Rufowe silniki uderzyły o skałę. Dziób z trzaskiem wylądował na przeciwległej ścianie, zaklinowując statek, samą jego wagą.

Uformowana w potężny oszczep błyskawica, pomknęła płomieniem w dół. Jill odruchowo cofnęła się i wstrzymała oddech. Wylądowanie z sykiem przeleciało po kadłubie statku i zniknęło w wypalonej, poczerniałej skale.

– Ciągłe masz ochotę umrzeć za swoje zasady? – brutalnie zapytał ją Gray.

Rzuciła mu gniewne spojrzenie.

– Tak – warknęła. – Nie podoba mi się tylko, że umrę w twoim towarzystwie!

Spojrzała w dół, na dolinę. Pioruny uderzały w kadłub z monotonną regularnością, ale dolina była nietknięta. Jill uśmiechnęła się, chociaż nadal miała bladą twarz, a ciało sztywne z oczekiwania na najgorsze.

To właśnie jej uśmiech przechylił szalę. Gray popatrzył na nią, na jej potargane czarne loki, gibką szyję i piersi. Odchylił się do tyłu w swoim fotelu, groźnie spoglądając na burzę.

– Spokojnie – powiedział. – Nie umrzesz.

Odwróciła się do niego, nie śmiejąc wypowiedzieć nawet słowa. On, powoli, mówił dalej.

– Jedyne ryzyko wiązało się z lądowaniem. Działamy jak piorunochron dla całej doliny, ponieważ jesteśmy najwyższym położonym i najlepszym przewodnikiem. Ale, jak to już dawno temu udowodnił człowiek o nazwisku Faraday, ładunek rozplywa się po powierzchni przewodnika. Jesteśmy absolutnie bezpieczni.

– Jak śmiałeś! – wyszeptała.

Stawił jej czoła, niemal z gniewem.

– Zdrugotałeś wszystkie podstawy mojej filozofii życiowej. Miałem już dosyć tej hipokryzji i mydlenia oczu. Musiałem poddać cię próbie. I zrobiłem to.

Przez pewien czas siedziała nic nie mówiąc. Potem odparła:

– Rozumiem, Duke. Cieszę się. I co teraz? Co sobą zrobisz?

Wzruszył cierpko ramionami.

– Nie wiem. Ciągłe mogę zabrać drugi ze statków Carona i uciec. Ale nie wydaje mi się, żebym chciał to zrobić. Tak sobie myślę, że może powinienem pokręcić się tu trochę, i dać cnotcie drugą szansę?

Gładząc się po swoich gładkich, bujnych włosach z tyłu głowy, rzucił jej spod ręki roziskrzone spojrzenie.

– Nie miałbym nawet – dodał delikatnie, – nic przeciwko pójdźciu do szkoły niedzielnej, gdybyś to ty była tam nauczycielką.

KONIEC